

Terytorium niczyje

„Mapa i terytorium” z Teatru Wybrzeże w reżyserii Eweliny Marciniak potwierdza, że Michel Houellebecq nie ma szczęścia do adaptacji.

WITOLD MROZEK

Emocjonalne wypalenie, erotyczne obsesje, melancholia, ale też bezlitosne obrazki rynku sztuki i elegia dla przemijającej w Europie cywilizacji przemysłowej - „Mapa i terytorium” to jedna z najlepszych powieści Francuza. Jej bohaterem jest Jed Martin, artysta, który wpada na pomysł, by fotografować mapy Francji wydawane przez Michelina i zestawiać zdjęcia map z fotografiami przedstawianego terytorium. W pewnym momencie Jed odbywa podróż do... pisarza Michela Houellebecqa, by zamówić tekst do katalogu swojej kolejnej wystawy i umocnić jej prestiż. Ważnym wątkiem jest też relacja artysty z chorym na raka ojcem, który niegdyś był wziętym człowiekiem biznesu, a dziś - zgorzkniały - żegna się z życiem.

Monolog Jeda (młodszego gra Piotr Biedroń, starszego Marek Tynda) - wypalonego, dobrze sytuowanego zachodniego mężczyzny w średnim wieku - może przynębiać, bawić ironią albo irytować mizoginią. Ale na sceniczną akcję przełożyć go trudno. Ewelina Marciniak i dramaturg Jan Czapliński dwoją się i troją, by znaleźć na „Mapę i terytorium” jakiś pomysł. Cokolwiek rozpaczliwie. Brak tu zarówno odwagi, by książkę potraktować tylko jako punkt wyjścia, jak i konsekwencji, by pozostać w stylu jej narracji.

Jest więc np. rozpoczęta i porzucona próba zbudowania wokół książki Houellebecqa teatralnego eseju - w pierwszej scenie nagi Michał Jaros (za chwilę dowiemy się, że gra pisarza) opowiada o polskim wydaniu „Mapy i terytorium” jako o obiekcie. Komentuje okładki i uważa za cud to, że w takim kraju jak Polska ktoś w ogóle wydaje współczesną literaturę obcą. Potem zaś dowcipkuje na temat renomy reżyserki spektaklu, kojarzonej ze skandalem wokół „Śmierci i dziewczyny” w Teatrze Polskim we Wrocławiu, która zaproszeniem czeskich aktorów porno ściągnęła na siebie gniew ministra Piotra Glińskiego. Później jednak zainteresowanie „obiektem” jakoś zaniknie; Czapliński i Marciniak nie zrezy-

gnują też z opowiadania fabuły na rzecz logiki eseju.

Nagości także już nie będzie - to nowość u Marciniak. Będą za to dzieci, dużo dzieci, pytane np. o to, jak wyobrażają sobie mapę Europy. I będą ją rysować, bazując na skojarzeniach. W scenach imprez socjety to mali aktorzy grają Jeffa Coonsa czy Damiena Hirsta - królów świata sztuki i bohaterów jednego z obrazów Jeda. Cóż bardziej kiczowatego niż dziecko grające dorosłego? Marciniak kiczu się nie boi - pokazała już wiele razy, że lubi soczyste barwy i kostiumową przesadę. Ale tym razem scenografka Katarzyna Borkowska idzie w wyjątkowo funkcjonalny minimalizm.

W scenie, w której Jed nawiązuje romans z pracującą dla Michelina Rosjanką Olgą (Katarzyna Dalek), towarzyszą im ich dziecięce wersje wyrażające niewypowiedziane myśli kochanków. Jest w tym coś kiczowatego, ale i urzekającego zarazem. Jeśli ktoś będzie chciał się oburzyć na działania Marciniak, pewnie zarzuci jej zbliżanie dzieci do sfery seksualnej.

Problem w tym, że w spektaklu chwil takiego napięcia jest jak na lekarstwo. W spotkaniu Jeda z ojcem (Krzysztof Matuszewski) nie ma ani żalu, ani obcości. Zostaje scenka rodzajowa. Czy najlepszym pomysłem na oddanie melancholii i wyobcowania jest zrobienie trzygodzinnego spektaklu, w którym między aktorami nic się nie wydarza?

Jednym z nielicznych jasnych punktów zostaje monolog Jacka Labijaka w roli właściciela galerii podczas wernisazu. Wprost do widowni, punktując co niektórych „branżowych” widzów, drwi z krytyki czy rynku sztuki, arbitralnych mechanizmów wynoszących i degradujących artystów.

Całościowy efekt jest niewydarzony - gubi gdzieś ostrze houellebecqowskiej ironii. Twórcy nie umieją też na mocny idiom pisarza odpowiedzieć własnym prześmiewczym konceptem - co udało się samej reżyserce w „Morfinie” według Szczepana Twardocha. Historyczne sensacje i męskie dylematy obróciła tam w ostentacyjnie tandetny, ale błyskotliwy wodewil.

Marciniak zdaje się szukać nowego języka dla swoich przedstawień. Wciąż lubi rozwiązania tak efektowne, że wręcz efekciarskie, zdaje się jednak odchodzić od komponowania barokowych, hiperatrakcyjnych widowisk, wśród których był „Portret damy”, jej udany poprzedni spektakl z Wybrzeża. Reżyserka straciła gdzieś żywiołowy rytm napędzający „Portret...” czy „Morfinę”, ale nie znalazła jeszcze nowego pomysłu na swój teatr. A z całą pewnością nie na Houellebecqa. ●